

ROBERT
HARRIS



DYKTATOR
TRYLOGIA RZYMSKA III



I



Pamiętam ścigające nas nad pogrążonymi w mroku polami Lacjum trąbki Cezara – ich tęskne, ostre zawodzenie, podobne do tego, które wydają zwierzęta w rui – i to, że gdy ucichły, słyszać było tylko nasze zdyszane oddechy i lód chrzęszczący pod podeszwami butów.

Nieśmiertelnym bogom mało było tego, że Cycerona opluli i napiętnowali współobywatele; że w środku nocy musiał opuścić domowe ognisko i ołtarze przodków; i że uciekając pieszo z Rzymu, zobaczył za sobą swój stojący w płomieniach dom. Do wszystkich tych nieszczęść uznali za stosowne dorzucić jeszcze jedną wyrafinowaną udrękę: kazali mu słuchać, jak wojsko jego wroga zwija obóz na Polu Marsowym.

Choć Cycero był w naszej grupce najstarszy, dzielnie dotrzymywał nam kroku. Nie tak dawno jeszcze życie Cezara było w jego rękach. Mógł go zgnieść tak, jak zgniata się jajko. Teraz opatrność wiodła ich w przeciwnych kierunkach. Podczas gdy Cycero podążał na południe, uciekając przed swymi wrogami, architekt jego klęski maszerował na północ, by objąć rządy w dwóch prowincjach Galii*.

* Pojęcia, które mogą być niejasne, są wyjaśnione w słowniczku na str. 469.

Cycero szedł ze spuszczoną głową, nie mówiąc ani słowa, i domyślałem się, że jest po prostu zbyt przygnębiony, by się odzywać. Dopiero o świcie, gdy dotarliśmy do Bovillae, gdzie czekały na nas konie i miał się zacząć drugi etap naszej ucieczki, Cycero zastygł nagle w bezruchu przy drzwiczkach powozu.

– Nie sądzisz, że powinniśmy zawrócić? – spytał.

To pytanie mnie zaskoczyło.

– Nie wiem – odparłem. – Nie zastanawiałem się nad tym.

– Więc teraz się zastanów. Wyłumacz mi. Dlaczego uciekamy z Rzymu?

– Z powodu Klodiusza i podjudzanego przezeń motłochu.

– A dlaczego Klodiusz jest taki potężny?

– Bo jest trybunem i może wydawać prawa, które są w ciebie wymierzone.

– A kto umożliwił mu zostanie trybunem?

– Cezar – odrzekłem po krótkim wahaniu.

– Otóż to. Cezar. Twoim zdaniem to zbieg okoliczności, że wyrusza do Galii właśnie teraz? Oczywiście, że nie! Cekał, aż jego szpiedzy doniosą mu, że opuściłem miasto, i dopiero wtedy wydał armii rozkaz do wymarszu. Dlaczego? Zawsze zakładałem, że spuścił ze smyczy Klodiusza, by ukarać mnie za to, że przeciw niemu wystąpiłem. Ale może przez cały czas zależało mu wyłącznie na tym, by wypłoszyć mnie z Rzymu? Dlaczego zwlekał z wymarszem z miasta, dopóki nie zyskał pewności, że mnie już w nim nie ma?

Powinienem dostrzec, że w tym, co mówił, tkwiła pewna logika. Powinienem namówić go, żeby zawrócił. Byłem jednak zbyt wyczerpany, by jasno rozumować. I jeśli mam być szczery, chodziło o coś więcej. Za bardzo bałem się tego, co mogłyby nam uczynić zbiry Klodiusza, gdyby złapały nas w trakcie powrotu do miasta.

– To trafne pytanie – odparłem zamiast tego – i nie będę

udawał, że znam na nie odpowiedź. Ale czyż nie wyjdziemy na niezdecydowanych, gdy po tym, jak pożegnaliśmy się ze wszystkimi, pojawimy się nagle z powrotem? Poza tym Klodiusz zdążył już spalić nasz dom... dokąd mamy wrócić? Kto nas przygarnie? Moim zdaniem rozsądniej będzie, jeśli zrealizujemy twój pierwotny plan, panie, i postaramy się wyjechać jak najdalej od Rzymu.

Cycero oparł głowę o ścianę powozu i zamknął oczy. Wstrząsnęło mną to, jak mizernie wyglądał w bladym świetle poranka, po nocy spędzonej w drodze. Od tygodni nie strzygł brody ani włosów i nosił czarną togę. Te publiczne oznaki żałoby sprawiały, że choć miał dopiero czterdzieści dziewięć lat, wydawał się o wiele starszy – niczym jakiś zgrzybiały świątobliwy żebrak.

– Nie wiem, Tironie – stwierdził w końcu i westchnął. – Może masz rację. Od tak dawna nie zmrużyłem oka, że jestem zbyt znużony, by myśleć.

I tak oto – bardziej w wyniku niezdecydowania aniżeli świadomej decyzji – popełniony został fatalny błąd i przez cały ten dzień oraz dwanaście następnych wciąż parliśmy na południe, by znaleźć się jak najdalej od miejsca, w którym, jak sądziliśmy, groziło nam niebezpieczeństwo.

Żeby nie zwracać na siebie uwagi, podróżowaliśmy z jak najmniejszą świtą: tylko woźnica powozu i trzech uzbrojeni niewolnicy na koniach, jeden z przodu i dwaj z tyłu. Pod siedzeniem mieliśmy schowaną małą skrzynkę ze złotymi i srebrnymi monetami, które dał nam na koszty podróży Attyk, najstarszy i najbliższy przyjaciel Cycerona. Zatrzymywaliśmy się tylko u osób, którym ufaliśmy, nie dłużej niż na jedną noc w każdym domu, omijając szerokim łukiem miejsca, w których Cycero mógł zostać zatrzymany – na przykład jego nadmorską willę w Formiae, gdzie przede wszystkim mogli go szukać

prześladowcy, a także miejscowości położone nad Zatoką Neapolitańską, jak co roku wypełniające się już spragnionymi zimowego słońca i ciepłych źródeł Rzymianami. Zamiast tego zmierzaliśmy jak najszybciej w stronę czubka italskiego buta.

Zgodnie z planem, który Cyncero ułożył w drodze, chcieliśmy udać się na Sycylię i zostać tam, dopóki w Rzymie nie ustanie wymierzona przeciwko niemu polityczna agitacja. „Motłoch zwróci się w końcu przeciwko Klodiuszowi – przepowiadał – bo taka jest niezmienna natura motłochu. Ten człowiek będzie zawsze moim śmiertelnym wrogiem, ale nie będzie przecież zawsze trybunem – nie wolno nam o tym zapominać. Za dziewięć miesięcy jego urzędowanie dobiegnie końca i wtedy będziemy mogli wrócić”.

Był pewien przyjaznego przyjęcia ze strony Sycylijczyków, choćby z powodu wygranego procesu, jaki wytoczył niegdyś okrutnemu namiestnikowi tej wyspy, Werresowi – mimo że od tego wspaniałego zwycięstwa, które zapoczątkowało jego polityczną karierę, minęło już dwanaście lat i całkiem niedawno to Klodiusz był kwestorem w tej prowincji.

Wysłałem listy zawiadamiające, że Cyncero zamierza szukać tam azylu, i po dotarciu do Regium wynajęliśmy małą sześciowiosłową łódź, która miała nas przewieźć przez cieśninę do Messyny.

Wypłynęliśmy z portu w pogodny zimowy poranek – niebo i morze były olśniewająco błękitne, jedno jasne, drugie ciemne, dzieląca je linia ostra niczym nóż. Odległość do Messyny wynosiła zaledwie trzy mile. Pokonanie jej zajęło nam niespełna godzinę. Podpłynęliśmy tak blisko, że widzieliśmy już zwolenników Cyncerona, którzy wspięli się na skały, by go powitać. Ale wejścia do portu strzegł okręt wojenny w zielonych i czerwonych barwach namiestnika Sycylii, Gajusza Wergiliusza, i kiedy zbliżyliśmy się do latarni morskiej, podniósł kotwicę i

ruszył powoli do przodu, by przeciąć nam drogę. Wergiliusz, który stał na jego dziobie w otoczeniu liktorów, wyraźnie się wzdrygnął, widząc, jak marnie wygląda Cyncero. Zaraz potem pozdrowił go głośno, na co mój pan odpowiedział przyjaznymi słowami. Zнали się od wielu lat z senatem.

Wergiliusz zapytał go, jakie ma zamiary.

Cyncero odkrzyknął, że oczywiście chce zejść na ląd.

– Tak właśnie słyszałem – odparł Wergiliusz. – Niestety nie mogę na to pozwolić.

– A to dlaczego?

– Z powodu nowego prawa Klodiusza.

– Cóż to za nowe prawo? Jest ich tyle, że można się pogubić.

Wergiliusz skinął na jednego ze swoich podwładnych, który wyciągnął dokument i pochylił się, by mi go wręczyć. Dzieliła nas spora odległość i żeby go wziąć, musiałem wspiąć się na palce. Przekazałem go Cynceronowi. Do dziś pamiętam, jak furkotał na wietrze w jego dłoniach, zupełnie jakby był żywą rzeczą; w ciszy słychać było tylko ten furkot. Cyncero przeczytał go nieśpiesznie, po czym oddał mi bez słowa komentarza.

Lex Clodia in Ciceronem

Jako że M.T. Cyncero bez przesłuchania i bez wyroku pozbawił życia rzymskich obywateli i w tym celu nadużył władzy i sfałszował dekret senatu, zarządzając niniejszym, by w promieniu czterystu mil od Rzymu odmówiono mu wody i ognia; by pod groźbą śmierci nikt nie ważył się go przyjąć i udzielić mu schronienia; by skonfiskowane zostało całe jego mienie, a dom w Rzymie zburzony, i by wzniesiono na jego miejscu sanktuarium ku czci Wolności; i by dopóty, dopóki ci, których Cyncero bezprawnie uśmiercił, nie odzyskają

*życia, każdy, kto będzie działał, przemawiał, głosował
i czynił jakiegokolwiek kroki na rzecz jego powrotu,
uznany został za wroga publicznego.*

To musiał być dla Cyncerona straszliwy cios, ale znalazł w sobie dość siły ducha, by zbyć zagrożenie machnięciem ręki.

– Kiedy opublikowano te brednie? – zapytał.

– Powiedziano mi, że dekret był wysłany z Rzymu przed ośmioma dniami. Wczoraj dotarł do moich rąk.

– W takim razie jeszcze nie obowiązuje i nie będzie obowiązywał, dopóki nie zostanie trzykrotnie odczytany. Potwierdzi to mój sekretarz. Tironie – zwrócił się do mnie – powiedz namiestnikowi, kiedy to prawo może najwcześniej wejść w życie.

Próbowałem to policzyć. Zanim dekret mógł być poddany pod głosowanie, trzeba było odczytać go głośno na Forum w trzy kolejne dni targowe. Jednak to, co przed chwilą przeczytałem, tak mną wstrząsnęło, że nie mogłem sobie przypomnieć nie tylko, jaki jest właśnie dzień tygodnia, ale też kiedy przypadają dni targowe.

– Za dwadzieścia dni od dzisiaj – zaryzykowałem. – A może za dwadzieścia pięć?

– Widzisz?! – zawołał Cyncero. – Nawet jeśli ustawa przejdzie, co moim zdaniem jest niemożliwe, mam jeszcze trzy tygodnie. – Stał na dziobie kołyszącej się łodzi i zapierając się mocno nogami, rozłożył ręce w błagalnym geście. – Proszę cię, drogi Wergiliuszu, przez wzgląd na naszą dawną przyjaźń! Skoro przebyłem już taki szmat drogi, pozwól mi przynajmniej wylądować i spędzić dzień albo dwa z moimi stronnikami!

– Nie. Jak już mówiłem, przykro mi, ale nie mogę ryzykować. Zapytałem o zdanie moich prawników. Twierdzą, że nawet gdybyś udał się na sam zachodni kraniec wyspy, do Lilybaeum,

nadal znajdowałbyś się w odległości trzystu pięćdziesięciu mil od Rzymu, a wtedy Klodiusz mnie dobrałby się do skóry.

W tym momencie Cyncero porzucił uprzejmy ton.

– Nie masz prawa przeszkadzać w podróży obywatelowi Rzymu – oświadczył z gniewem.

– Mam wszelkie prawa, by strzec spokoju mojej prowincji. A tutaj, jak wiesz, prawem jest moje słowo...

W jego głosie brzmiał przepraszający ton. Powiedziałbym nawet, że zakłopotanie. Ale był niewzruszony i po krótkiej gniewnej wymianie zdań nie pozostało nam nic innego, jak zawrócić i popłynąć z powrotem do Regium. Na ten widok na brzegu podniosły się okrzyki protestu i widziałem, że Cyncero jest po raz pierwszy poważnie zaniepokojony. Wergiliusz był jego przyjacielem. Jeśli tak zareagował przyjaciel, to wkrótce mogła zamknąć się przed nim cała Italia. Powrót do Rzymu, by zaskarżyć dekret, stwarzał zbyt wielkie ryzyko. Było na to za późno. Niezależnie od fizycznych zagrożeń, w jakie obfitowałyaby taka podróż, wyglądało na to, że dekret prawie na pewno przejdzie, a wtedy znaleźlibyśmy się w odległości czterystu mil od limitu, który wyznaczał. Żeby pozostać w zgodzie z warunkami wygnania, Cyncero musiał natychmiast uciekać za granicę. Z powodu Cezara Galia nie wchodziła oczywiście w grę. Pozostawał zatem jakiś kraj na Wschodzie – Grecja, a być może Azja. Niestety znajdowaliśmy się jednak po niewłaściwej stronie półwyspu, żeby wypłynąć na burzliwe zimowe morze. Musieliśmy dostać się na przeciwległy brzeg, do Brundisium nad Adriatykiem, i znaleźć duży statek nadający się do dłuższej podróży. Byliśmy więc w szczególnie fatalnym położeniu – niewątpliwie zgodnie z zamysłem Cezara, głównego sponsora i patrona Klodiusza.



Uciążliwa podróż przez góry trwała dwa tygodnie, często w ulewnym deszczu i w większości nędznymi drogami. Choć w mijanych przez nas małych miasteczkach spotykaliśmy się z dość przyjaznym przyjęciem, bez przerwy obawialiśmy się zasadzki. Nocowaliśmy w zadymionych, lodowatych gospodach, posilając się czerstwym chlebem i łykowatym mięsem, których smaku raczej nie poprawiało kwaśne wino. Cycero wpadał to w furję, to w rozpacz. Widział teraz wyraźnie, że opuszczając Rzym, popełnił straszliwy błąd. Doprowadzało go do szału to, że oddał pole Klodiuszowi i pozwolił mu miotać kalumnie, jakoby pozbawił obywateli życia „bez przesłuchania i bez wyroku”, podczas gdy w rzeczywistości wszystkich pięciu spiskowców Katyliny miało prawo do obrony, a ich egzekucję usankcjonował cały senat. Jego ucieczka była jednak równoznaczna z przyznaniem się do winy. Powinien był posłuchać tego, co podpowiadał mu instynkt, i zawrócić w chwili, gdy usłyszał trąbki oznajmiające wymarsz wojsk Cezara. Po raz pierwszy zdał sobie teraz sprawę z popełnionego błędu. Bolał nad ponurym losem, który przez własną głupotę i bojaźliwość ściągnął na żonę i dzieci.

A kiedy przestawał zadreć sam siebie, wściekał się na Hortensjusza i „całą tę zgraję arystokratów”, którzy nigdy nie wybaczyli mu, iż mimo niskiego pochodzenia został konsulem i ocalił republikę; a potem umyślnie nakłaniali go do ucieczki, by móc go zniszczyć. Powinien pójść za przykładem Sokratesa, który twierdził, że śmierć jest lepsza od wygnania. Tak, powinien się zabić! Złapał leżący na stole nóż. Zabije się! Nie odezwałem się ani słowem. Nie brałem jego pogrozek serio. Nie mógł ścierpieć widoku cudzej krwi, a co dopiero swojej. Przez całe życie starał się unikać wojskowych ekspedycji, igrzysk, publicznych egzekucji i pogrzebów – wszystkiego, co mogło mu przypominać o własnej śmiertelności. Jeśli ból był czymś, czego

się bał, śmierć go przerażała – i to właśnie, choć nigdy nie ośmieliłbym się powiedzieć mu tego w oczy, było głównym powodem, dla którego uciekł z Rzymu.

Kiedy stanęliśmy w końcu przed murami Brundisium, uznał, że lepiej będzie nie wjeżdżać do miasta. Jego cel podróży był tak oczywisty, a port tak duży i zatłoczony, tak pełen obcych ludzi, że wydawał się idealnym miejscem na zamach. Zamiast tego poszukaliśmy schronienia w nieco dalszej części wybrzeża, w rezydencji starego przyjaciela Cycerona, Marka Laniusza Flakkusa. Tamtej nocy po raz pierwszy od trzech tygodni spaliśmy w porządnym łóżku i nazajutrz rano zeszliśmy na plażę. Fale wznosiły się tu o wiele gwałtowniej niż od strony Sycylii, Adriatyk był szary i wzburzony. Silny wiatr ciskał strzępy białej piany na kamienie i skały. Cycero nie znosił morskich podróży nawet przy dobrej pogodzie; tym razem morze wyglądało szczególnie niebezpiecznie. A jednak była to nasza jedyna droga ucieczki. Sto dwadzieścia mil za horyzontem leżało wybrzeże Ilirii.

– Nie upadaj na duchu, Cyceronie – powiedział Flakkus, widząc jego minę. – Być może dekret w ogóle nie przejdzie albo zawetuje go któryś z pozostałych trybunów. W Rzymie musi być ktoś, kto cię poprze... może Pompejusz?

Ale Cycero, ze wzrokiem utkwionym w morzu, nie odpowiedział i kilka dni później dowiedzieliśmy się, że dekret zatwierdzono i Flakkus dopuszcza się ciężkiej zbrodni przez sam fakt, iż gości w swoim domu skazanego na wygnanie. Mimo to przekonywał nas, byśmy zostali. Powtarzał z uporem, że nie boi się Klodiusza. Cycero nie chciał jednak o tym słyszeć.

– Wzrusza mnie twoja lojalność, stary druhu, ale zaraz po uprawomocnieniu się dekretu ten potwór wysłał pewnie bandę najemnych zbirów, by mnie dopadli. Nie mamy czasu do stracenia.

W porcie Brundisium znalazłem statek handlowy, którego przyciśnięty do muru szyper zgodził się w zamian za sowitą zapłatę przepłynąć w zimie Adriatyk, i nazajutrz rano o pierwszym brzasku, kiedy w pobliżu nie było nikogo, weszliśmy na pokład. Łajba była porządna, z szerokim pokładem i dwudziestoosobową załogą, i zwykle kursowała handlowym szlakiem między Italią a Dyrrachium*. Nie znałem się na statkach, lecz ten wydawał się solidny. Szyper oceniał, że rejs zajmie nam półtora dnia, twierdził jednak, że musimy się pośpieszyć, by wykorzystać sprzyjający wiatr. Dlatego kiedy marynarze szykowali statek do rejsu, a Flakkus czekał na nabrzeżu, Cycero podyktował szybko ostatnią wiadomość do żony i dzieci: *To było wspaniałe życie i wielka kariera – do upadku doprowadziło mnie to, co we mnie dobre, nic złego. Moja droga Terencjo, najwierniejsza i najlepsza z żon, moja ukochana córko Tulio i mały Marku, nasza jedyna pozostała nadziejo – żegnajcie!* Skopiowałem list i przekazałem go Flakkusowi, który uniósł rękę w geście pożegnania. Postawiono żagiel, rzucono cumy, wioślarze wzięli się do wiosła i wkrótce zostawiliśmy za sobą portowe mury i wypłynęliśmy na skąpane w bladoszarym świetle morze.



Z początku płynęliśmy dość szybko. Cycero stał wysoko nad pokładem, na podwyższeniu dla sterników, opierając się o reling na rufie i patrząc, jak znika za nami wielka latarnia morska w Brundisium. Nie licząc wizyt na Sycylii, opuszczał Italię po raz pierwszy od czasów młodości, kiedy to udał się na Rodos, by uczyć się sztuki wymowy u Molona. Ze względu na swój temperament najmniej ze wszystkich znanych mi ludzi

* Dzisiejsze miasto Durres w Albanii.

nadawał się na wygnańca. Żeby się rozwijać, potrzebował tego, dzięki czemu funkcjonuje cywilizowane społeczeństwo – przyjaciół, nowin, plotek, rozmów, polityki, wykwintnych obiadów, wizyt w teatrze i w łaźni, książek i pięknych gmachów; obserwowanie, jak to wszystko coraz bardziej się oddala, musiało mu sprawiać olbrzymi ból.

Tak czy inaczej po niespełna godzinie wszystko to pochłonęła pustka. Wiatr gnał nas mocno do przodu i kiedy przecinaliśmy białe grzywacze, pomyślałem o „huczącej pod stępką purpurowej fali” Homera *. Jednak późnym rankiem statek zaczął stopniowo tracić szybkość. Wielki brązowy żagiel opadł, a po obu naszych stronach sternicy stojący przy rudlach wymieniali między sobą zaniepokojone spojrzenia. Wkrótce na horyzoncie zaczęły się gromadzić gęste czarne chmury i w ciągu godziny zamknęły się nad naszymi głowami niczym kłapa włazu. Zrobiło się ciemniej i spadła temperatura. Morze stało się bardziej wzburzone i znowu zerwał się wiatr, ale tym razem wiał nam prosto w twarz, siekąc wodnym pyłem unoszącym się z powierzchni fal. O rozkołysany pokład zabębnił grad.

Cycero zadrżał, pochylił się, zwymiotował i twarz poszarzała mu jak u nieboszczyka. Objąłem go ramieniem i wskazałem, że powinniśmy zejść na niższy pokład i poszukać schronienia w kajucie. Byliśmy w połowie drabiny, gdy mrok rozjaśniła błyskawica i chwilę później rozległ się ogłuszający, przeraźliwy huk, niczym odgłos pękającej kości albo łamiącego się drzewa. Musieliśmy chyba stracić maszt, bo nagle runęliśmy na pokład. Wszędzie wokół nas wznosiły się i opadały w świetle błyskawic wielkie, czarne masy wody. Wycie wiatru sprawiało, że nie sposób było niczego powiedzieć ani usłyszeć. W końcu wpełchnąłem po prostu Cycerona do kabiny, wpadłem tam za

* Homer, *Odyseja*, przekład Jana Parandowskiego, Warszawa 1956.

nim i zatrzasnąłem drzwi.

Próbowaliśmy się wyprostować, ale statek gwałtownie się kołysał. Staliśmy po kostki w wodzie, nie mogąc utrzymać się na nogach. Deski pod naszymi stopami przechylały się to w jedną, to w drugą stronę, a my, niczym wiezione na rzeź zwierzęta, turlaliśmy się w ciemności pośród nieumocowanych narzędzi, dzbanów wina i worków owsa. Wreszcie wcisnęliśmy się w kąt i leżeliśmy tam, przemoczeni i wstrząsani dreszczami, podczas gdy statkiem rzucało w górę i w dół. Byłem pewien, że czeka nas zguba, i zamknąwszy oczy, modliłem się do Neptuna i wszystkich innych bogów o ocalenie.

Minęło dużo czasu. Ile dokładnie, nie mogę powiedzieć – z całą pewnością trwało to do wieczora, przez całą noc i część następnego dnia. Cycero wydawał się zupełnie nieprzytomny; co jakiś czas musiałem dotykać jego policzka, by sprawdzić, czy żyje. Za każdym razem otwierał na krótko oczy i zaraz z powrotem je zamykał. Stwierdził później, że całkowicie pogodził się z tym, że utonie, i był zbyt wyczerpany chorobą morską, żeby się bać; dostrzegł wówczas, że Natura w swojej łasce oszczędza tym, którzy znaleźli się w skrajnym położeniu, grozy nicości i sprawia, że śmierć zdaje im się upragnionym wybawieniem. Dodał, że kiedy obudził się następnego dnia, uświadomił sobie, że jest już po sztormie i jego egzystencja nie dobiegła końca, odczuł niemal największe zaskoczenie w swoim życiu: „Niestety, jestem w tak rozpaczliwej sytuacji, że prawie tego żałowałem”.

Upewniwszy się, że sztorm się skończył, wyszliśmy na pokład. Marynarze wyrzucali akurat za burtę zwłoki jakiegoś nieszczęśnika, któremu obracający się bom rozbił głowę. Adriatyk był aksamitnie gładki i nieruchomy, takiego samego koloru jak niebo, i ciało zsunęło się do wody prawie bez plusku. Wiatr niósł woń rozkładu i gnicia, której nie rozpoznawałem.

Milę dalej ujrzałem wznoszące się nad falami przyboju wysokie czarne skały i doszedłem do wniosku, że sztorm cofnął nas z powrotem do domu i że to musi być wybrzeże Italii. Kapitan wyśmiał jednak moją ignorancję i oznajmił, że to Iliria, a owe skały są słynnymi klifami, które strzegą wejścia do starożytnego portu Dyrrachium.



Cycero chciał z początku jechać do Epiru, górzystej krainy na południu, gdzie Attyk miał wielką posiadłość, w której skład wchodziła ufortyfikowana wioska. Był to spustoszony region, który nie zdołał się jeszcze podnieść po straszliwej katastrofie, jaką zgotował mu w poprzednim stuleciu senat, kiedy to w ramach kary za sprzymierzenie się przeciwko Rzymowi zrównano jednocześnie z ziemią wszystkie siedemdziesiąt miast, a całą liczącą sto pięćdziesiąt tysięcy ludność sprzedano w niewolę. Niemniej Cycero twierdził, że nie będzie mu przeszkadzała samotność w tak odludnym miejscu. Tuż przed naszym opuszczeniem Italii Attyk ostrzegł go jednak – jak pisał, „z żalem” – że jeśli wiadomość o jego obecności się rozejdzie, będzie mógł tam pozostać tylko przez miesiąc; gdyby do tego doszło, sam Attyk, na mocy drugiego punktu dekretu Klodiusza, podlegałby karze śmierci za to, że przygarnął banitę.

Schodząc na ląd w Dyrrachium, Cycero nie był jeszcze zdecydowany, w jakim kierunku się udać – na południe do Epiru, choć mógł tam znaleźć tylko tymczasowe schronienie, czy też na wschód, do Macedonii, której namiestnik, Apulejusz Saturninus, był jego starym przyjacielem, stamtąd zaś do Grecji i Aten. Tak się złożyło, że decyzja została podjęta za niego. Na nabrzeżu czekał posłaniec – bardzo podenerwowany młody człowiek. Rozglądając się na wszystkie strony, by upewnić się, czy nie jest obserwowany, zaprowadził nas szybko do

opuszczonego składu i wyciągnął list. Wysłał go Saturninus, namiestnik. Nie mam go w swoim archiwum, ponieważ kiedy tylko przeczytałem ów list Cycleronowi, ten złapał go i podarł na strzępy. Wciąż jednak pamiętam sedno sprawy: otóż mimo ich wieloletniej przyjaźni Saturninus „z żalem” (znów ta sama fraza!) zawiadamiał, że nie będzie mógł przyjąć Cyclerona w swoim domu, bo „namiestnikowi Rzymu nie przystoi przyjście z pomocą skazanemu wygnańcowi”.

Głodny, przemoczony i wyczerpany po rejsie Cycero cisnął na ziemię fragmenty listu i kryjąc głowę w dłoniach, osunął się na belę materiału. W tym momencie posłaniec odezwał się nerwowo:

– Mam jeszcze jeden list, ekscelencjo...

Autorem drugiego listu był jeden z młodszych urzędników namiestnika, kwestor Gnejusz Plancjusz. Jego rodzina mieszkała w sąsiedztwie Cycleronów, na ziemiach ich przodków wokół Arpinum. Plancjusz pisał, że wysłał ten list po kryjomu przez tego samego posłańca, człowieka godnego zaufania; że nie zgadza się z decyzją swojego zwierzchnika; że wzięcie pod opiekę Ojca Narodu będzie dla niego zaszczytem; że kluczowe jest zachowanie wszystkiego w tajemnicy; że wyruszył już w drogę, by powitać go na granicy Macedonii; że załatwił powóz, którym Cycero będzie mógł wyjechać z Dyrrachium, i że musi się to stać *natychmiast, ze względu na twoje osobiste bezpieczeństwo; błagam cię, panie, byś nie odkładał wyjazdu nawet o godzinę; wyjaśnię wszystko, gdy się spotkamy.*

– Ufasz mu, panie? – zapytałem.

Cycero wbił wzrok w ziemię.

– Nie. Ale jaki mam inny wybór? – odparł półgłosem.

Z pomocą posłańca zadbałem o to, by nasz bagaż został przeniesiony ze statku do powozu kwestora – nędznego wehikułu, niewiele różniącego się od więziennej celi na kołach,

bez resorów i z przybitymi do okien metalowymi kratkami, dzięki którym podróżujący w środku zbieg mógł wyglądać na zewnątrz, lecz jego nikt nie mógł zobaczyć. Z głośnym turkotem wyjechaliśmy z portu do miasta i skręciliśmy w Via Egnatia, wielką drogę prowadzącą aż do Bizancjum. Zaczął padać deszcz ze śniegiem. Kilka dni wcześniej miało tu miejsce trzęsienie ziemi i teraz okolica sprawiała żałosne wrażenie; na poboczu drogi leżały niepochowane zwłoki tubylców, a nieliczne grupki ocalałych zbierały się wśród ruin pod prowizorycznymi namiotami, kuląc się przy dymiących ogniskach. To właśnie ten odór zniszczenia i rozpacz czułem, gdy dopływaliśmy do brzegu.

Przez cały dzień podróżowaliśmy przez równinę w stronę zaśnieżonych gór, a noc spędziliśmy w małej wiosce otoczonej ze wszystkich stron wysokimi szczytami. Gospoda była nędzna, w izbach na dole szwendały się kozy i kury. Cycero niewiele jadł i nic nie mówił. W tym dziwnym i jałowym kraju, pośród dziko wyglądających ludzi, ostatecznie już popadł w skrajną rozpacz i z największym trudem zdołałem go nazajutrz skłonić, by wstał z łóżka i kontynuował podróż.

Przez dwa dni droga pięła się pod górę, aż wreszcie dotarliśmy do brzegu wielkiego, skutego lodem jeziora. Po jego drugiej stronie leżało miasto Lychnidos, za którym zaczynała się Macedonia, i tam właśnie, na forum, oczekiwał nas Plancjusz. Trzydziestokilkuletniemu, potężnie zbudowanemu mężczyźnie w wojskowym stroju towarzyszyło sześciu legionistów i kiedy wszyscy ruszyli w naszą stronę, wpadłem nagle w panikę, przekonany, że daliśmy się wciągnąć w pułapkę. Lecz serdeczność, z jaką Plancjusz uściskał Cyncerona, i łzy w jego oczach przekonały mnie od razu, że nie ma żadnych podstępnych zamiarów.

Mizerny wygląd Cyncerona wyraźnie nim wstrząsnął.

– Powinieneś odzyskać siły, panie – rzekł – ale niestety musimy natychmiast ruszać.

Następnie powiedział nam to, czego nie ośmielił się zawrzeć w liście: otrzymał mianowicie wiarygodne informacje, iż trzech zdrajcy, których Cycero skazał na wygnanie za udział w spisku Katyliny – Autroniusz Petus, Kasjusz Longinus oraz Marek Leka – szukają go i przysięgli go zabić.

– W takim razie nigdzie na świecie nie będę bezpieczny – stwierdził Cycero. – Jak mamy żyć?

– Jak już mówiłem, pod moją opieką. Jedź ze mną do Tesalonik, panie, i zatrzymaj się pod moim dachem. Do końca ubiegłego roku byłem wojskowym trybunem i nadal jestem w czynnej służbie, dlatego dopóki pozostaniesz w granicach Macedonii, będę cię strzegli moi żołnierze. Mój dom to żaden pałac, ale jest bezpieczny i możesz w nim mieszkać, jak długo będzie trzeba.

Cycero popatrzył na niego z niedowierzaniem. Poza gościnną, jakiej udzielił mu Flakkus, była to pierwsza realna oferta pomocy w ciągu ostatnich tygodni – a właściwie miesięcy – i głęboko poruszyło go to, że wyszła od młodzieńca, którego prawie nie znał, podczas gdy starzy sprzymierzeńcy, tacy jak Pompejusz, odwrócili się do niego plecami. Chciał coś powiedzieć, lecz słowa uwięzły mu w gardle i uciekł spojrzeniem.



Via Egnatia wije się przez góry Macedonii na długości stu pięćdziesięciu mil, następnie zaś wiedzie w dół, ku równinie Amphaxis, aż do portu w Tesalonikach, i tam właśnie, w położonej na uboczu willi w północnej części miasta, dwa miesiące po opuszczeniu Rzymu, dobiegła kresu nasza podróż.

Pięć lat wcześniej Cycero był niekwestionowanym władcą Rzymu i tylko Pompejusz Wielki cieszył się większą sympatią

ludu. Teraz stracił wszystko – reputację, pozycję, rodzinę, majątek i ojczyznę; chwilami nawet równowagę umysłu. Ze względów bezpieczeństwa nie wolno mu było w świetle dnia wychodzić z willi. Jego obecność trzymano w tajemnicy. Przy wejściu stacjonował strażnik. Plancjusz oznajmił swoim podwładnym, że anonimowy gość jest jego starym przyjacielem, którego dotknęła głęboka melancholia. Jak we wszystkich udanych kłamstwach, i w tym stwierdzeniu tkwiło ziarno prawdy. Cycero prawie w ogóle nie jadł, nie odzywał się i nie opuszczał swojego pokoju; jego głośnie lamentsy słyszać było czasami w całym domu. Nie przyjmował żadnych gości, nie chciał się widzieć nawet ze swoim bratem Kwintusem, który przejeżdżał nieopodal po zakończeniu namiestnictwa w Azji. *Nie rozpoznałbyś w swoim bracie człowieka, którego zapamiętałeś* – usprawiedliwiał się, pisząc do niego – *w żywym trupie, jakim jestem, nie pozostał po nim żaden ślad, nic, co by go przypominało.* Starłem się ze wszystkich sił wlać w jego serce trochę otuchy, ale nie bardzo mi się to udawało, bo jak ja, niewolnik, który nigdy nie posiadał niczego, co warto byłoby utracić, mogłem w ogóle zrozumieć jego poczucie straty? Patrząc wstecz, widzę, że moje starania, by wskazać mu pociechę w filozofii, tylko go rozjątrzały. I rzeczywiście, gdy przytoczyłem pewnego razu argument stoików, że do szczęścia wystarczy sama cnota, a status i majątek nie są nam potrzebne, Cycero cisnął we mnie stołkiem.

Przybyliśmy do Tesalonik z początkiem wiosny i zaraz potem wysłałem na własną odpowiedzialność listy do przyjaciół i rodziny Cyclerona, zawiadamiając ich poufnie, gdzie się ukrywa, i prosząc, by pisali do niego na adres Plancjusza. Trzy tygodnie trwało, nim te listy dotarły do Rzymu, potem kolejne trzy, nim zaczęliśmy dostawać odpowiedzi, a zawarte w nich wieści raczej nie były krzepiące. Terencja opisywała, jak zrównano z ziemią

zwęglone ściany ich rodzinnego domu na Palatynie, by zgodnie z zapowiedzią Klodiusza można tam było wznieść – o ironio! – sanktuarium ku czci Wolności. Splądrowano willę w Formiae, a także wiejską posiadłość w Tusculum, a sąsiedzi wywieźli nawet kilka drzew z jego ogrodu. Bezdomna Terencja schroniła się z początku u swojej siostry w świątyni westalek.

Ale ten nikczemny łajdak Klodiusz, gwałcąc wszystkie święte prawa, włamał się do świątyni i zawlókł mnie do bazyliki Porcia, gdzie na oczach motłochu miał czelność wypytывать mnie o mój własny majątek! Odmówiłam naturalnie odpowiedzi. Wtedy zażądał, bym ręcząc za swoje dobre zachowanie, przekazała mu jako zakładnika naszego małego syna. W odpowiedzi wskazałam obraz przedstawiający zwyciężającego Kartagińczyków Waleriusza i przypomniałam mu, że moi przodkowie walczyli w tej właśnie bitwie, a skoro moja rodzina nigdy nie bała się Hannibala, to ja z całą pewnością nie dam mu się zastraszyć.

Cycero najbardziej niepokoił się o syna. „Pierwszym obowiązkiem każdego mężczyzny jest chronić swoje dzieci, a ja nie jestem w stanie go spełnić”, ubolewał. Marek i Terencja mieszkali teraz w domu jego brata, a uwielbiana przezeń córka Tulia znalazła schronienie pod dachem swych teściów. Tulia, podobnie jak jej matka, starała się pomniejszać swoje zgrzyoty, ale czytając między wierszami, nietrudno było się domyślić, że pielęgnuje chorego męża, łagodnego Gajusza Frugiego, którego nie najlepsze zdrowie nadwątliły ostatnie wypadki. *Ukochana, moje serce wyrывa się do ciebie* – napisał Cycero do żony. – *I pomyśleć, że ty, najdroższa Terencjo, niegdyś ostoja, do której*

wszyscy zwracali się ze swoimi kłopotami, znosisz teraz takie udręki! Dzień i noc mam cię przed oczyma. Żegnajcie, moi nieobecni ukochani, żegnajcie.

Sytuacja polityczna była również niewesoła. Kłodiusz i jego stronnicy nadal okupowali świątynię Kastora w południowym rogu Forum. Używając tej twierdzy jako swojej kwatery głównej, mogli zastraszyć głosujących i wprowadzić bądź też zablokować dowolne prawo. Jedna z nowych ustaw, o których się dowiedzieliśmy, mówiła na przykład o aneksji Cypru i obłożeniu podatkiem jego bogactw „dla dobra ludu rzymskiego” – to znaczy w celu sfinansowania darmowych przydziałów zboża, które Kłodiusz zapewnił każdemu obywatelowi – i nakładała na Marka Porcjusza Katona obowiązek dokonania tej grabieży. Nie trzeba dodawać, że ustawa przeszła, bo czyż jakakolwiek grupa głosujących sprzeciwiła się kiedykolwiek nałożeniu podatków na kogoś innego, zwłaszcza gdy sama miała z tego odnieść korzyść? Katon z początku się opierał, ale Kłodiusz postraszył go, że jeśli sprzeciwi się prawu, zostanie skazany. Ponieważ dla Katona przestrzeganie prawa było największą świętością, nie miał innego wyboru i musiał się podporządkować. Popłynął na Cypr razem ze swoim młodym bratankiem Markiem Juniuszem Brutusem i po jego wyjeździe Cycero stracił swego najbardziej elokwentnego stronnika w Rzymie.

Senat był bezsilny wobec bezwzględnych metod Kłodiusza. Nawet Pompejusz Wielki (Faraon, jak nazywali go prywatnie Cycero i Attyk) zaczął się bać wszechwładnego trybuna, którego sam pomógł stworzyć Cesarowi. Krążyły plotki, że większość czasu spędza na miłosnych igraszkach ze swoją młodą żoną Julią, córką Cezara, podczas gdy jego pozycja polityczna systematycznie słabnie. Chcąc pocieszyć Cyclerona, Attyk powtarzał te plotki w listach, z których jeden przetrwał.